

Tadeusz Morawski

W walce o polski taniec

Dwie gwiazdy

III.

Pani Teresa Dobrowolska mając dopiero lat szesnaście rozpoczęła studia tańca artystycznego i przez lat osiem z górą poświęca się pracy. W roku 1933 uzyskuje dyplom i z tą chwilą sława jej poczyni się ustalać.

Jak to często w Polsce bywa, pierwszą poznała się widownia zagraniczna. Jej wyjazd do Paryża przynosi pierwsze sukcesy.



Choć pani Teresa tańczy w zespole, jednak opinia widzów i prasa stale ją wyróżnia i stale podkreśla, że ta tancerka ma przed sobą wielką przyszłość i prawdopodobnie niedługo nadejdzie dzień, w którym zabłyśnie w tańcu solowym.

Na sukcesach w Paryżu, okłaskuje ją Wiedeń. Ocena wiedeńskich recenzentów w niczym się nie różni od recenzji paryskich. Zespół, który tak licznie zbierał okłaski w Wiedniu, śmiało można powiedzieć przede wszystkim dzięki wybijającej się na czoło p. Dobrowolskiej otrzymuje dyplom i sława pełne uznania, które dociera wreszcie do kraju. Od tej chwili pani Teresa daje poznać się w tańcach solowych.

Jeszcze raz Teresa Dobrowolska daje się nakłonić do tańczenia w zespole. Był to taniec, który wiele narobił wrzawy w prasie. Nosił on miano „Cyrek siedmiu grzechów”. Tym razem recenzje dotarły do naszych wytwórni filmowych. Taniec ten został utrwalony na taśmie.

„Cyrek siedmiu grzechów” był ostatnim występem p. Teresy w zespole. Tańczy teraz tylko jako solistka.

Takie tańce własnego układu jak „Capriccio” Brahmsa, „Pułk” Debussy'ego, oraz „Impresje indyjskie” Cyryla Scotta, czy wreszcie tańce ludowe przyniosły wciąż nowe sukcesy. Prasa podkreśla jej dojrzałość artystyczną.

nawia uciekać via Syberia do kraju.

Zaczyna się koczownicze życie. Kolejną, kołm, pieszo przemierza p. Ocimkówna całą Syberię, Mandżurię, Chiny, aż wreszcie dociera do Japonii, skąd okrętem przybywa do Polski w roku 1922.

Będąc jeszcze w Rosji, w szkole poczuła powołanie i na licznych występach amatorskich zbierała okłaski, zaskoczona, samodzielnym talentem, widowni. W kraju, w gimnazjum, znów liczne przedstawienia amatorskie, utwierdzają opinię widowni rosyjskiej. Za radą przyjaciół wstępuje do szkoły Paszkówny, tej jedynej chrześcijańskiej szkoły w Łodzi i w roku 1934 uzyskuje dyplom.

Po przyjeździe do Polski p. Irena wstępuje do Związku Harcerskiego i wraz z harcerzami wyjeżdża do Węgier na jamboree do Gödöle.

Pewnie czytelnicy pamiętają, jakie okłaski zbierali Polacy za tańce polskie. Całą zasługę należy przypisać Irenie Ocimkównie, która z p. Romanem Gertnerem popisywała się mazurami i oberkami.

Podczas swego paroletniego pobytu w Łodzi dała się poznać szerszemu ogółowi przez liczne, poranki taneczne, a mając i zdolności deklamatorskie i wokalne często występuje przed mikrofonem.

W roku 1938 zamieszkuje na stałe w Warszawie, gdzie pogłębia swoje wiadomości o sztuce tanecznej. Dnie poświęca ciężkiej pracy zarobkowej, a wieczory nauce.

Panna Ocimkówna jest może jedyną tancerką w Polsce, która uczęszczała do szkół tanecznych jedynie chrześcijańskich, co może wpłynęło na zasadniczy jej kierunek.

Irena Ocimkówna tańczy prawie tylko tańce polskie i to starając się odrzucić z nich wszelkie naleciałości modernistyczne, aby zachować w nich prawdziwy ich charakter, niczym nie skażony.

Nic dziwnego, że opinia zalicza p. Irenę do najlepszych tancererek w dziedzinie tych tańców. Pomaga jej w tym żywiołowy temperament, technika doprowadzona do precyzji i bogata mimika.

Jako propagatorka tańców polskich, wyjeżdża Ocimkówna do Belgii na Międzynarodowy Konkurs Taneczny, gdzie zdobywa, w znanych już Czytelnikom warunkach, srebrny medal.

W Brukseli odtanńczyła „Mazurę” Wieniawskiego, „Matus” do muzyki Maciejewskiego i dla licznie zebranych tam Węgrów „Dziwczynę węgierską”, opartą melodycznie na XII Rapsodii Liszta. Styl tańca węgierskiego został tak utrzymany, że Węgrzy nie chcieli uwierzyć w polskość tancerki.

Po powrocie z Belgii cały zespół wystąpił we Lwowie, gdzie prasa jednogłośnie podkreśliła talent p. Ocimkówny, a studenci lwowscy zaproponowali jej wyjazd zagranicę w celach propagandy sztuki polskiej.

Obecnie p. Irena pragnie wstąpić do szkoły baletowej p. Mikolajewskiej, a po jej ukończeniu otworzyć własną szkołę, aby krzewić kulturę taneczną, wolną od naleciałości i domieszek kultur obcych.



HARCE RSTWO POLSKIE Z ZAGRANICY W HODZIE NACZELNEMU WODZOWI



W dniu 7 sierpnia uczestnicy kursów starszyny Harcerstwa Polskiego z zagranicy w liczbie około 100 osób złożyli hołd Naczelnemu Wodzowi w imieniu ośrodków Harcerstwa Polskiego w Europie i Ameryce. Imieniem delegacji harcm. Kapiszewski zameldował P. Marszałkowi o gotowości oddania przez wszystkie ośrodki harcerstwa polskiego zagranicą wszelkich sił w służbie Ojczyzny. Z kolei komendant główny Z. H. P. we Francji p. Kulakowski wręczył p. Marszałkowi czek na 45.000 fr., zebranych przez harcerstwo polskie we Francji na F. O. N. P. Marszałek serdecznie podziękował harcerstwu polskiemu zagranicą za jego ofiarność, zachęcając je jednocześnie do nieugiętej realizacji ideałów harcerskich w życiu codziennym, z myślą o Polsce. Na zdjęciu harcmistrz Kapiszewski składa meldunek P. Marszałkowi w imieniu harcerstwa polskiego zagranicą.

Złóż ofiarę na F.O.N.

Zbigniew Mokrzycki

Głupi Kuba

(Opowiadanie)

Głupi Kuba — tak go nazywała cała wieś. Głupi Kuba — wolały dzieciaki wiejskie, gdy szedł drogą między chałupami, wymachując rękami długimi jak skrzydła wiatraków i powiewając połą ongiś granatowej kapociny, teraz mocno wyszarzałej, na gołym opalonym grzbiecie osadzonej kurtki. Głupi Kuba — przyzywali go gospodarze, poręki od niego potrzebujący.

Dlaczego głupi — Bóg raczy wiedzieć. Przylgnęło do niego to paskudne imionisko od wczesnej młodości, przykleiło się mocno i ani rusz nie mógł się go pozbyć przez lat już przeszło dwadzieścia. Może ręce nieproporcjonalnie wielkie, sięgające bez mała do kolan i obrosnięte niby u zwierza dzikiego, lub wieczny uśmiech, błagający się po dużych wół otwartych ustach do sprawiły. A może był winien kwiatusek polny, który Kuba zwykł nosić w butonierce dziurawej kapociny i o którym nigdy nie zapominał, chociaż obywatel się doskonale bez koszuli i butów. Nie wiadomo. Jedno było pewne. Kuba nie był weale taki głupi, chociaż może nie jeden na to pozor wskazywał. Był chytry jak lis, przebiegły i zręczny i potrafił dokonać rzeczy, nad którymi nie byle jaki gospodarz dobrać by się nabiedził. Chodził więc od chałupy do chałupy majster klepek, pomagał i wyręczał, żył podawanym z rzadka dobrym słowem i litośną ręką darowanymi ochlapami — niczego stałego się nie miał.

Bo i po co? I tak poważania ludzkiego nie miał, ani odrobiny zacunku.

Glinę rozrobić — dobra. Bronę naprawić — zgoda. Ale żeby Kuba miał być gospodarzem „leguralnym” na dziesięciu czy piętnastu morgach — gdzieżby tam! Sam sierota, syn wyrobnicy — ziemi nie miał. A jaka gospodarska dziewczucha chciałaby wyjść za takiego niedojdę, co to nawet fornałem, nawet parobkiem we dworze nie był?

Dziwili też się ludziska młodej pani dziedziczce, co wraz z dwoma

małymi synkami siedziała na dziewięciu włókach hojnej kujawskiej ziemi, i rządziła na niej nie gorzej od siedzącego stałe w Warszawie dziedzica, że Kuba, chociaż nie pracował we dworze, raz po raz do siebie wyzywał. Ale Kuba i we dworze darmo chleba nie jadł. Z wysokiego, stareńskiego, przed gankiem stojącego orzecha ściągał ciężkie zielone owoce. Kołysząc się na wiotkich gałęziach, wiał na sam czubek smukłej topoli, by tam gniazdo bocianie popuste przez wicher i szarugi narychtować. Najlepiej jednak lubił, kiedy panie urosły na wesolych, pełnych przekory pięcioletnich chłopaków, hasać z nim po sprężystym kobiercu krótko strzyżonej parkowej trawy. Wydzierał wtedy cudem, chodząc na rękach i machał koziołki, a oni baraszkując się z nim, zaśmiewali się do rozpuku.

Z rozrównieniem patrzyła na te harce stara niania, co to jeszcze panią dziedziczkę piastowała i do tej pory, chociaż dziedziczka zdążyła wyjść za mąż i dzieci się dochować, mówiła do niej „panienko”. Niania, podobnie jak dziedziczka, czuła sentyment do tego obwiesia, co teraz lepiej nadawał się do towarzysztwa rozbrykanym paniczkom, niż ona, która za nim nadążyć nie mogła.

Była niedziela — dzień na wsi najdłuższy i najtrudniejszy do przetrzymania. Rano Msza święta w kościółku sąsiedniej wioski, do której jechało się drogą piaszczystą i wąską, wyciętą między młodymi zagajnikami. Po Mszy sąsiedzka pogawranka przy szkłance zimnego kwasu pod starą lipą na plebanii u księdza proboszcza, powrót do domu — znów tą samą piaszczystą drogą pośród zagajnika, obiad. A potem już nic, tylko dławiąca, ciężka, przyniatająca piersi, zaczajona między folwarcznymi, głuchymi zabudowaniami, wylająca z każdego kąta pokoju nuda. Radio usiłuje ją rozproszyć, ale to nie pomaga. Ani gazety. Ani długi rząd książek, ustawiony w półkach, grubymi sztykami oszklonej bibliotecznej szafie. Ani rozmowy chłopaków, ustawiających klocki na dywanie. Ani krzątania niani.

Pani Alina przerzuciła po raz dziesiąty nadeszłe sobotnią pocztą prospekty nowych siewników, przeszła po warzywniku, aby obejrzeć stan owoców, wcześniej, ledwie szarzeć zaczęło, zjadła z chłopcami kolację. Kiedy chłopcy posnęli już w białych łóżczkach, oświeceni przyćmionym światłem naftowej lampki — bez

światła bali się spać — kiedy niania ulokowała się w sąsiednim pokoiku, kazała Frankowi zaprzęgać. Pojechała do ludzi.

Nad wsią wisiał baldachim granatowego, nabijanego gęsto złotymi ćwiekami gwiazd nieba. Księżyc lśnił jak tarcza ze starego srebra. Promienie jego, przemyskując się między splecionymi gałęziami wzniosłych topoli zaglądały do pustych chat. Po rosnących łakach biegł poprzez ciszę nocną delikatnie, na palcach, dźwięk skrzypiec i baseli. Na muzyce w Kościelnej zebrała się cała okolicca. Bo kujawak — w pracy wyrachowany, zapamiętał i twardy, na własne tylko siły liczący — przy zabawie jest pełen temperamentu i zawadyjaka. Lubi i umie się pospolnie bawić.

Kuba szedł pośród chat topolową drogą powoli i niechętnie, pomrukując zęcha pod nosem.

— Bawion się, a już ci, gospodarze wielgie, honorne. Bawion się dzieuchy i chłopaki galante, jak się patrzy. Ale Kuba przegnał — głupiego. Do harówki dobry i do kpin. Muzyka nie dla niego.

Ani się spostrzegł, kiedy przeszedł wsię i stanął pod dworem. — Michał śpiom pewnikiem w oborze — myślał. — Fajny stróż z niego! Ukradłby go razem z krowami! Ale u pani dziedziczki widniało — popatrzył na okiennice, poróż szpary których gorzało jakieś światło. — Musi silnóm lampę palom. — Z ciekawości podszedł bliżej do okna — i oniemiał. Otworami sączyły się gęste smugi gryzącego dymu. Zrozumiał. — Ludzie! Ratunku!... Pali się! — wżasnął jak opętany i nie czekając, aż przebrzmie echo, grzmotnął ramieniem w okno raz, drugi.

Okiennice wyprysnęły z zawiasów i zwały się razem z Kuba do zasłutego ciężkim dymem wnętrza. Połamacku znalazł drzwi. Zanim je rozwałił taranem grzbietu — płomienie już buchnęły po przez okna i poczyniły kasać dach. Kuba kierując się bardziej pamięcią niż wzrokiem, odnalazł dwa obok siebie stojące łóżeczka i odurzonych dymem chłopców. Porwał ich obu pod pachę i pędem bosa stopa na tlejącym dywanie, dobiegł do okna. Chłopi tymczasem krzatali się koło ratowania.

Kiedy pożar był już na ugazszeniu, Kuba, oddając w ręce pani dziedziczki, która, zaalarmowana luną, przybyła do domu, zdrowych chłopców, rzucił w twarz gapiącym się ludziom jak obelgę: „Uratowałem ich — widziacie — ja, głupi Kuba!”.